

# Janusz Sławiński

---

## Wzmianka o eklektyzmie

---

Teksty : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 1 (49), 1-8

---

1980

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

**Komitet  
Nauk  
o  
Literaturze Polskiej  
i  
Instytut  
Badań  
Literackich PAN**

**dwumiesięcznik 1 (49), 1980**

# teksty teksty teksty

**TEORIA LITERATURY • KRYTYKA • INTERPRETACJA**

## **Wzmianka o eklektyzmie**

*Pisząc kiedyś o trzech pogardzanych figurach dzisiejszej nauki — dyletancie, snobie i modnisiu («Teksty» 1975 nr 3), zapomniałem zupełnie o współtowarzyszu ich niedoli, równie często jak tamci ośmieszanym i potępianym. Jak wiadomo, trzej muszkietierowie tym się odznaczali, że było ich czterech. U mnie ten czwarty gdzieś się zapodział — i nawet nie potrafię sobie wytłumaczyć, dlaczego tak się stało. Jest mi przykro, bo przecież i jemu należały się słowa otuchy.*

*Mowa więc będzie o eklektyku. I o eklektyzmie, rzecz prosta. Bo eklektyk jest nosicielem eklektyzmu, tak jak dyletant — dyletantyzmu, snob — snobizmu, a modniś — modnisiostwa. Można krytykować eklektyzm jako taki, pozostawiając w spokoju eklektyków (niech sobie żyją), do czasu przynajmniej. Gdy jednak ma się na uwadze rozprawę z tym czy innym eklektykiem, nie sposób nie zaatakować zarazem eklektyzmu jako takiego. Także broniąc tego czy innego eklektyka, nie możemy uchylić się od próby rehabilitacji eklektyzmu. Wszak obrona w rodzaju: «mimo wszystko jest to człowiek przyzwoity, uprzejmy i płaci systematycznie składki» — nie miałaby sensu.*

*Sytuacja kogoś, kto zasłużył w środowisku swojej dyscypliny na miano eklektyka, może się wydawać zupełnie beznadziejna. Jeśli podziela panujące przekonanie o dyskwalifikującej sile takiej etykiety, to praktycznie biorąc nie ma żadnych szans na efektywne uzasadnienie, że nie powinna być przytwierdzona do jego dokonań. Nie sposób u d o w o d n i ć, że to, co się działo, jest wolne od*

eklektyzmu, ponieważ wymagałoby to równoczesnego odepchnięcia paru rozmaitych uderzeń. Zarzut eklektyzmu przypomina bowiem pocisk o wielu głowicach: przed jedną czy drugą jesteś może w stanie się obronić, ale wszystkim naraz nie sprostasz; któraś nieuchronnie cię trafi. A jednego trafienia wystarczy, by unieważnić sens wszelkich zabezpieczeń, chroniących cię przed innymi równoległymi ciosami. Nie próbując pedantycznie wyliczać wszystkich możliwych dyskwalifikacyj, jakie niesie z sobą nazwanie kogoś eklektykiem, ograniczę się do czterech — podstawowych. Otóż nazwanie takie ma mu uświadomić, że to, co wykonał (wymyślił, napisał), nie zasługuje na uwagę, ponieważ jest

nieleganckie,  
niestuszące,  
niepoprawne,  
nietwórcze.

Główny warunek elegancji stanowi jednorodność czy jednostylowość wytworu. Połączenie kurtki safari z kapeluszem borsalino, spodniami sztuczkowymi i kierpcami nie może być uznane w towarzystwie ludzi wytwornych za elegancką kompozycję ubioru. Rokokowa berżera osadzona na podstawie fotela dentystycznego byłaby w ich oczach tworem równie godnym pogardy, co kundel złożony z korpusu jamnika, odnóży ratlerka i głowy lwa. I to zupełnie niezależnie od faktu, że groteskowa z wyglądu berżera okazała się — załóżmy — siedziskiem nadzwyczaj wygodnym, a pokraczny kundel stworzeniem o zadziwiającej inteligencji i subtelności uczuć. Całkiem podobnie osądzany bywa eklektyzm produktów pracy intelektualnej: wywodu teoretycznego czy działań interpretacyjnych. To, że odwołują się równocześnie do rozmaitych problematyk, repertuarów pojęciowych i terminologii, że mieszają odmiany ciekawości badawczej wypracowane w różnych szkołach czy dyscyplinach — jest w nich defektem estetycznym, zakłóceniem decorum, świadectwem bezstylowości. Produkty takie szpecą krajobraz nauki, którego prawdziwe piękno polega na oboczności stref jednorodnych — wyraźnie między sobą odgraniczonych. Każdą ze stref powinny wypełniać wytwory sporządzane wedle tej samej receptury, reprezentujące wspólny gatunek lub firmę. W jednej eksponują swe prace formalisci, w drugiej freudyści, w następnej socjogenetycy, gdzie indziej personaliści, a osobno semiotycy... Piękno tego pejzażu to piękno salonu wystawowego, w którym wszystko poustawiane jest

jak należy — zgodnie z wymogiem «jedności stylowej». Przechadza się w nim Esteta, kontemplując ład i harmonię mijanych sektorów. Oczywiście może któryś z nich bardziej lubić od pozostałych — to naturalne; ale często pozwala sobie na wielkoduszną przychylność wobec każdej konsekwentnej elegancji. Nie razi go epigoństwo wyrobów powielających ten sam wzór, seryjność rozwiązań i monotonia kształtów. Przeciwnie: nic go nie wprawia w lepsze samopoczucie. Natomiast przygnębienie i gniew wywołują w nim wszelkie produkty eklektyczne, nie dające się wkomponować w ład krajobrazu, porozrzucane bezładnie na ścieżkach dzielących jego poszczególne strefy. Rad by to nieklasyfikowalne talałajstwo wyrzucić poza granice nauki, tak jak kundla wyrzuca się z wystawy psów rasowych. Nie przyjmuje do wiadomości, że hybrydyczne wytwory mogą się komuś wydawać funkcjonalne z jakichś powodów: odmawia im wartości niejako z góry — za to właśnie, że samym swoim istnieniem obrażają jego poczucie elegancji. Sprzątnąć, usunąć, wysłać na Madagaskar — wołają pełni zgorszenia Esteci na widok pas-kudnych mieszaińców.

Z kolei zarzutem niestuszności posilkuje się przede wszystkim Doktryner. Jeśli Esteta, dyskwalifikując eklektyzm, wychodzi od pewnego ogólnego ideału uporządkowania dyskursów nauki, to Doktryner ma na względzie ściśle określony dyskurs — w formie przez siebie uprawianej — i z niego wyprowadza swój atak. Troszczy się o partykularny interes tego oto zestawu zaleceń metodologicznych, tego oto zbioru tez, tej oto terminologii. Oczywiście stara się gorliwie zatrzeć partykularność i relatywność przyjmowanego punktu widzenia, powtarzając uporczywie, że język badawczy czy teoria, o które się troszczy, są pod każdym względem bardziej miarodajne od innych języków i teorii — w sposób, rzecz można, naturalny uprzywilejowane, ponieważ pozwalają bezbłędnie trafić w istotę rzeczy, najsprawniej wyjaśnić fakty, spowodować przyrost wiedzy bezspornej. Umożliwiają wypowiedanie sądów i opinii o słuszności znie-walającej, nieograniczonej i nie dającej się przelicytować żadnej innej słuszności. A jeśli tak, to orzekanie na ich podstawie o niestuszności tego czy owego jest nie tylko ponad wszelką wątpliwość uzasadnione, ale — co więcej — ma siłę werdyktu powszechnie obowiązującego. Doktryner wypędza eklektyków poza swój obszar rodziwy, ale czyni to z takim rozmachem, jak gdyby w ogóle odmawiał im prawa przebywania w świecie prawdziwej nauki. Zdaje

sobie sprawę, że ich poczynania stwarzają największe bodaj niebezpieczeństwo dla wyznawanej przezeń doktryny. Istotniejsze od konkurencji innych doktryn — równie przecież jak i tamta obronnie zamkniętych, a zatem oddzielonych podwójnym murem. Eklektyzm natomiast to zagrożenie lęgnące się wewnątrz własnych murów, zarazą w Grenadzie. Eklektykom bardzo trudno zarzucić, że działają we wrogiej doktrynie intencji; najczęściej występują właśnie z inicjatywą jej wzbogacenia, modernizacji, uatrakcyjnienia, przystosowania do ducha czasu, do nowych wymogów i trendów metodologicznych. Wiadomo jednak, jaką to krainę wybrukowano dobrymi intencjami. Przyjazny eklektyk gorszy jest dla Doktrynera od zdeklarowanego przeciwnika. Jakże bowiem ktoś naprawdę sprzyjający doktrynie może uważać, że wyjdą jej na dobre szczepionki gdzie indziej wyhodowanych idei, obcych pojęć, cudzoziemskich dysfunkcji? Czy mogą one polepszyć to, co najlepsze? Wzbogacić to, co najbogatsze? Uprecyzyjnić to, co najbardziej precyzyjne? W istocie mogą tylko wprowadzić pogorszenie, zubożenie i pierwiastki mętniactwa. Eklektyk wnosi do doktryny znieprawienie i rozkład — i nic tu nie pomogą jego (obludne) zapewnienia, że sprawy mają się inaczej. Doktryner jest szczególnie uciążliwy na wszelkich polepszaczy i uzupełniaczy, którzy rozmazują wyrazistość danej teorii czy metody, zacierają ich granice, rozmywają spójność — za pomocą nie wiadomo skąd branych przymieszek i przydatków. Jeśli zakłada, że słuszność działań i wypowiedzi jest funkcją ich zgodności z pewną kanonizowaną, czystą postacią owej metody czy teorii, to musi uznać poczynania eklektyków za niestusne w sposób wyjątkowo złowrogi, ponieważ przystrojone są w piórka słuszności. Kto popadł w eklektyzm, oddał się — obiektywnie biorąc — w służbę niestusności najbardziej monstrualnej. Toteż ci, którzy popadli, nie mogą liczyć na wyrozumiałość.

Za niepoprawność postępowania potępia bezapelacyjnie eklektyków trzeci ich prześladowca — Purysta. W odróżnieniu od Doktrynera, przyjmującego partykularny punkt widzenia, Purysta występuje w imieniu ogólnie obowiązujących standardów pracy badawczej i z takich pozycji przeprowadza dyskwalifikację eklektyzmu. Ta niepartykularność zajmowanego stanowiska zbliża go do Estety, od którego jednak różni się tym, że nie jest zainteresowany wielością i różnaitością dyskursów naukowych, z których każdy ustala własne

zasady jednorodności i koherencji, lecz tym, co we wszystkich powinno odpowiadać normatywnemu modelowi dyskursu poprawnego. Ma na względzie pewien zestaw metodologicznych uniwersaliów obowiązujących wszelką aktywność badawczą i usiłuje stwierdzić, w jakiej mierze poszczególne dyskursy są im wierne. Gdy stopień niewierności okaże się zbyt wielki, Purysta orzeka karę usunięcia delikwenta z salonów nauki lub zaleca mu przygotowanie się do powtórnego egzaminu. Sam na ogół nie praktykuje żadnej szczegółowej dyscypliny wiedzy: nie ma styczności z materiałem empirycznym, nie stawia problemów ani nie wznosi teoryj. Jest ekspertem od możliwości uprawiania w sposób poprawny dowolnych dziedzin wiedzy. Wie, jakim warunkom powinna sprostać prawidłowo zbudowana teoria (jakakolwiek), zna niezawodne sposoby weryfikowalności tez, potrafi wskazać kryteria wzorcowej procedury analitycznej, określić parametry najwłaściwszej techniki interpretacji. Jest specjalistą od ogólnego regulaminu gier badawczych, rozprawia wyłącznie o modelach, strategiach, optymalizacjach, idealizacjach, generalizacjach, prawach itp. Nie zajmują go rezultaty osiągnięte w toku badań: nowe kwestie, obszary przedmiotowe, rozpoznania nie dostrzeganych przedtem zależności czy własności. Ważny jest dlań jedynie sposób dochodzenia do wyników. Zawsze wywyższy poprawną nijakość nad niepoprawną odkrywczość. Trudno sobie wyobrazić język badawczy, który by w zupełności mógł odpowiadać wymogom Purysty. Byłby to zapewne twór zadziwiający doskonałą nieużytecznością i nieużyteczną doskonałością — niezdolny spowodować żadnego przyrostu wiedzy. Języki faktycznie funkcjonujące odbiegają — na szczęście — od takiego ideału, i dlatego Puryci mają wciąż tyle do roboty. Do rozwiązań eklektycznych odnoszą się nie tyle z krytycyzmem, co z bezgraniczną pogardą. Inspekcji poprawnościowej mogą się bowiem poddawać metody postępowania czy teorie mające charakter systemowy, a przynajmniej zbliżony do systemowego; takie, w których występują uchwytnie zależności między elementami, zwłaszcza hierarchiczne: ze zbioru reguł, pojęć lub tez podstawowych wyprowadzane są reguły, pojęcia lub tezy o stopniowo coraz węższym zasięgu — przy czym można za każdym razem wskazać zasadę wyprowadzalności, a w najgorszym przypadku domyślić się jej istnienia. Jedynie taka w miarę zorganizowana i jednorodna całość może stanowić przed-

miot procedur kontrolnych: daje się o niej orzekać to czy owo w perspektywie kryteriów przyjmowanych przez Purystę. Natomiast produkty eklektyczne, zszywane z kawałków reprezentujących rozmaite całości systemowe, w ogóle nie kwalifikują się do tego rodzaju kontroli. Ich niepoprawność jest absolutnie beznadziejna, ponieważ wymyka się wszelkim miernikom. Nie sposób jej oszacować, gdyż stanowi najzupełniej nieprzewidywalną kombinację niepoprawności różnorodnych — zsumowanych, przemnożonych, tworzących kłębowisko uchybień i niekonsekwencji, jakąś hiperniepoprawność, która sama niejako plasuje się poza dziedziną wartości wiązanych z robotami naukowymi. Eklektyk wyklucza się z konkurencji, tak jak — powiedzmy — chodziarz, który mając do przemaszzerowania określony dystans, pokonywałby go częściowo biegiem, częściowo pełzając, a resztę na rowerze.

Role Estety, Doktrynera i Purysty nie kończą się bynajmniej wraz z odśpiewaniem przez każdego z nich osobnych arii antyeklektycznych. Mają oni bowiem w zapasie jeszcze jedną pieśń — tym razem wspólną — którą zwykle wykonują na bis: solo lub w zespole. Pieśń tę chętnie i zgodnie podejmują inni, bo łatwo wpada w ucho. Jej treścią główną jest potępienie eklektyka za to, że oddaje się działaniom nietwórczym, a dobitny refren wzywa go do zrozumienia, dlaczego nie może sobie rościć pretensji do przebywania wśród badaczy, którym nauka zawdzięcza swój wspaniały rozwój.

Treść tej pieśni wymagałaby detalicznego przedyskutowania indywidualnie z każdym ze śpiewających, jako że poza tragedią grecką nie znamy sytuacji, w której chór nadawałby się na partnera poważnego dialogu. Należałoby więc zapytać jednego czy drugiego chórzystę, dlaczego uważa, że homogeniczność użytkowanego języka badawczego ma być koniecznym warunkiem przedsięwzięcia twórczego (odkrywczego), a język synkretyczny z góry wyklucza ewentualność takiego przedsięwzięcia. Skąd ta pewność? Dlaczego zamknięcie, bliskie nieraz uwięzieniu, w jednej metodzie czy w jednej problematyce miałoby bardziej sprzyjać zasługującym na uwagę dokonaniom niż kojarzenie różnych metod czy problematyk? A czy w ogóle wyobrażalna jest konsekwentna jednorodność (jednostylowość) zasad sterujących procesem badawczym? Wszak zasady takie nie tylko relatywizują się do jakiejś «dziedziny przedmiotowej», którą ów proces obejmuje, ale równocześnie (i nieuchronnie) są uplą-

tane w rozgrywkę z innymi sposobami jej ujmowania. Przedmiot jawiący się w polu danej metody nie pozostaje w stanie pierwotnej niewinności; przywarły już do niego najrozmaitsze kategoryzacje, formuły interpretacyjne, etykiety — wywodzące się z innych języków badawczych, często bardzo odległych od naszego. W pewnym sensie stały się one częścią tego przedmiotu, chcąc nie chcąc więc wchodzimy z nimi w dialog: jedne odrzucamy, inne przekształcamy, jeszcze inne traktujemy jako obojętne, ale niektóre przejmujemy (uważając je za «niczyje»). Już tego wystarczy, by nasza metoda wchłonęła zarazki niejednorodności. Ich roznosicielem jest bowiem sam przedmiot. Z tego by wynikało, że głównym warunkiem zapewnienia danemu instrumentarium badawczemu pełnej jednostylowości byłoby uparte powstrzymywanie się od jego użytkowania...

Stawiając tego rodzaju kwestie pod rozwagę potępiaczy eklektyzmu, nie pragnęlibyśmy wcale udowodniać, że jest on działaniem o wysokim współczynniku twórczości, zdolnym powodować zauważalny postęp wiedzy. Wprawdzie eklektykom zdarza się czasami odkryć jakąś nie dostrzeganą przedtem kombinację zagadnień czy punktów widzenia, ale łatwo zgodzimy się, że są to raczej szczęśliwe przypadki niż dowód jakiejś prawidłowości. Rzecz w czym innym. Sprowadza się do pytania: czy można utrzymywać, że usiłowania eklektyków kierują się p r z e c i w twórczości naukowej, że ją uniemożliwiają czy choćby utrudniają? Twierdzę, że nie można. Uważam natomiast, że odpowiedź pozytywna musiałaby paść na analogiczne pytanie dotyczące postaw głównych oprawców eklektyka: Estety, Doktrynera i Purysty. Właśnie oni mają najmniejsze prawo do tego, by stawać w obronie twórczości naukowej, ponieważ ich wysiłkom zawdzięcza ona szczególnie wiele utrudnień i przeciwników. Odkrywcze akcje Twórcy nieodmiennie rozgrywają się w walce z ustalonymi normami elegancji, doktrynalnymi schematyzacjami i szablonami metodologicznej poprawności. Eklektyk natomiast może okazać się naturalnym s o j u s z n i k i e m Twórcy. I często okazuje się. Wprowadzając zamieszanie do uporządkowanego świata dyscyplin, teorii, specjalności, kompetencji, podkopując doktrynerskie uzurpacje, łącząc bezceremonialnie reguły różnych gier badawczych, relatywizując nawzajem rozmaite stanowiska i metody — przygotowuje (nawet nie wiedząc o tym) warunki niezbędne dla pojawienia się ujęć i rozwiązań odkrywczych. Z punktu widzenia tych ostatnich — poczynania eklektyków dają się często trakto-



wać jako potrzebne stadium eksperymentalnego zmieszania języków.

Ale oprócz tego: eklektycy kształtują swoimi praktykami coś, co chciałoby się nazwać mową potoczną dyscypliny w danej fazie jej ewolucji. Z języków jednostronnych, hodowanych sztucznie, porozdzielanych, skłóconych, wytwarzają oni — poprzez swoje hybrydy — język komunikacyjnie użyteczny i w miarę krwisty, za pomocą którego mówi się na co dzień w obrębie tej dyscypliny i przekazuje na zewnątrz wyprodukowaną w niej wiedzę — zwłaszcza w nauczaniu, popularyzacji itp. Jest to język, w którym da się żyć, skrojony na ludzką miarę, stanowiący przeciwagę dla wyrafinowanych utopii językowych dzisiejszej nauki.

\* \* \*

Byłoby rzeczą właściwą, gdyby potulni i skłonni do popłochu eklektycy zechcieli trzeźwo spojrzeć na swoje miejsce w krajobrazie życia naukowego. Mają tu do odegrania różne pozytywne role i nie powinni czuć się obrażeni ani poniżeni, gdy ktoś nazwie ich po imieniu. Jeśli sami przestaną traktować nazwę «eklektyk» jako przezwisko, będzie to oznaczało, że istotnie zaczyna ona tracić sens przezwiska. Muszą następnie skrzyknąć się i podjąć trud zbudowania własnej teorii eklektyzmu jako działania badawczego, gdyż nie sposób dłużej tolerować sytuacji, w której jest on wyłącznie bohaterem negatywnym innych teorii. Wcale nie wykluczone, że w toku towarzyszącej tej pracy dyskusji wyszłoby na jaw, że świadomy siebie eklektyzm może stanowić obecnie jedną podstawę dla tych dążeń, które występują pod wzniosłymi hasłami «interdyscyplinarności» i «integracji» wiedzy.

Janusz Sławiński